

Najzupełniej przypadkowo włączony kanał IV POLONII przypomniał mi Rysię Hanin. Stary, czarno-biały spektakl reżyserowany przez Jerzego Antczaka, u którego Rysia grywała niemal zawsze, pokazał w jakimś krótkim zbliżeniu twarz aktorki z owym niezapomnianym wyrazem oczu, tajemniczym i jednocześnie pełnym ciepła uśmiechem. Ten uśmiech opromienia całą postać, więcej – ludzi uczestniczących w rozmowie z Rysią, jej partnerów scenicznych. Była w niej jakaś magia, która przykuwała uwagę widza, która sprawiała, że właśnie ta aktorka stanowiła zawsze dobry pretekst, by usiąść przed gadającym pudłem. Choć prawda tkwi także i w tym, iż ówczesny teatr telewizji coś znaczył w przeciwieństwie do dzisiejszego zamulacza głowy i czasu o tej samej nazwie.

Poznałam ją w drugiej połowie lat 50. Pojawiała się w naszym domu ze swym pierwszym mężem, Leonem Pasternakiem, którego poznała, gdy debiutowała we frontowym teatrze I Armii WP stworzonym przez Władysława Krasnowieckiego. Rysia pod jego doświadczonym okiem grywała wówczas dużo, z rolą Panny Młodej ze sławnej w historii polskiego teatru inscenizacji „Wesela”



UŚMIECH opromieniał całą postać i ludzi uczestniczących w rozmowie z Rysią

Wyspiańskiego. Leon Pasternak zajmował się w tym teatrzyku sprawami literackimi. Tam się poznali, tam zdecydowali o wspólnym życiu.

Pojawiali się u nas często. Jeździli małym fiacikiem 500, na którego tylnym siedzeniu mościł się z widocznym niezadowolaniem wielki chow-chow, nazywany

przez moją mamę po prostu Kanapą. Był wielki, „nieustawny”, powolny i miał szalony żal do swoich właścicieli, za ową przyciążną ławeczkę w mikroskopijnym samochodzie...

Rysia chętnie śmiała się, lubiła dowcip – markowy wyłącznie, fraszki Leona, jego bon-moty. Stanowili wspaniale uzupełniającą się parę, toteż kiedy po latach zdecydowali o rozstaniu się, byłam niepokieszona. Widywałam się z nimi oddzielnie, ale to już nie było TO!

Rysia żyła teatrem. To była jej pasja, jej wielka odwzajemniona miłość, jej spełnienie, jej panaceum na czas dobry i zły. Jej wiedza teatralna była przeogromna, podobnie jak zasięg lektur. Myślę, że musiała być znakomitym pedagogiem teatralnej młodzieży: wielkie doświadczenie (grała przecież bez chwili wytchnienia przez blisko pół wieku! I to jakie role! Pod wodzą jakich reżyserów!) współgrało znakomicie z jej łatwością nawiązy-

wania kontaktów, wewnętrznym ciepłem; w młodości pasjonował ją Stanisławski i jego myśli o teatrze. Niewątpliwie z niego przejęła sposób pracy nad rolą, stosunek do materiału literackiego, do tradycji, do sztuki aktorskiej w ogóle. A do tego wszystkiego dodawała swoje doświadczenie, intuicję, wiedzę, swój własny sposób rozumienia sztuki. I powstawał z tego najzupełniej niezwykle twór: wielkie kreacje sceniczne. Bez względu na to, czy pierwszoplanowe, czy epizodyczne. Bowiem Rysia Hanin z każdej najmniejszej roli potrafiła wyczarować postać, która pozostała w naszej wdzięcznej pamięci. Ile ich stworzyła w teatrze, w telewizji, w radiu, w filmie, na estradzie! Ile niezwykle ról zagrała w inscenizacjach Jerzego Antczaka – jedyne chyba reżysera wielkiego formatu, który tak doskonale zrozumiał zjawiskowość teatralną, która kryła się pod nazwiskiem Hanin.

A przy tym ta niezwykle skromność, prostota, całkowity brak kabotyństwa, gwiazdorstwa...

W połowie lat 60., kiedy pracowałam w TV, zetknęłam się z Rysią „na planie”. Pisałam wówczas scenariusze widowisk poetyckich. Jeden z nich stanowił próbę przeniesienia na ekran poematu Puszkina „Eugeniusz Oniegin”.

Spektakl ten reżyserowała właśnie Rysia. Wiele godzin przegadałyśmy nad gotowym scenariuszem: chodziło bowiem, aby w nim znalazło się możliwie najwięcej z przekładu Juliana Tuwima, a jak najmniej z bardzo złego, morderczego dla oryginału tłumaczenia Adama Ważyka. A później owe godziny prób i nocne nagrania, szlifowanie każdego kadru, podpowiadanie aktorowi, gdy w jakiejś trudniejszej sytuacji nie dawał sobie rady ze złożoną materią poetycką. Wtedy właśnie doszłam do wniosku, że Rysia jest także znakomitym pedagogiem.

Tamten spektakl się nie zachował. Podobnie jak wiele innych, które realizowała Ryszarda Hanin. Pomimo że żyjemy w erze kultury obrazkowej, sztuka teatralna pozostaje wciąż jednym z najbardziej ulotnych zjawisk. Raz jeszcze przekonałam mnie o tym fakt, iż nie zostały zarejestrowane próby – od pierwszej po ostatnią – „Króla Leara” największego polskiego aktora współczesnego, Tadeusza Łomnickiego. A, jak pamiętamy, była to jego ostatnia rola...

Może teraz razem z Rysią, gdzieś w teatrze na pastwiskach niebieskich, grają jedną z tych sztuk, która nigdy nie została zrealizowana tu, dla nas...

KIRA GAŁCZYŃSKA